Do Bułgarii wybraliśmy się samochodem. Dwa dni drogi mogą odstraszać, jednak ta perspektywa nie wydaje się tak straszna, gdy zaplanuje się ciekawe postoje, w tym przypadku głównie ornitologiczne. Ponadto, ewentualny lot i wynajęcie samochodu nie są zbyt trafionym pomysłem, gdy zamierzamy jeździć po bocznych bułgarskich drogach. W szczególności te górskie potrafią wywołać u kierowcy palpitacje serca z powodu licznych, nieogrodzonych niczym przepaści i stromych podjazdów po kamienistej nawierzchni. Bujne krzewy porastające pobocza większości dróg w kraju sprawiają, że nietrudno tu też o zarysowania, więc tym bardziej własnym samochodem zawsze pewniej.

Na pierwszy dzień zaplanowaliśmy węgierską pusztę. Wyjechaliśmy koło północy, dzięki czemu na miejscu mieliśmy szansę być jeszcze przed największymi upałami, a tego dnia zapowiadały się iście afrykańskie warunki. Głównym celem był drop. Ptaki wymarłe w Polsce oraz te, które są na skraju wyginięcia w naszym kraju, darzę szczególnym sentymentem, a sam drop niewątpliwie znajduje się w czołówce tych, które chciałbym zobaczyć na wolności. Pierwsze ścierniska w poszukiwaniu tego gatunku przeglądamy w okolicach trójstyku granic: węgierskiej, słowackiej i austriackiej – tu, według ebirda, widziane były kilka tygodni wcześniej. Oprócz wielu gatunków drapieżników nie zauważamy tu jednak nic szczególnie ciekawego. Udajemy się zatem dalej na południowy-wschód w okolice Budapesztu. Wszystkim, którzy chcieliby zobaczyć prawdziwą węgierską pusztę w tym rejonie polecam drogę Bugyi –Kunpeszér. My pokonujemy ją bardzo powoli, dlatego też już po paru kilometrach powietrze zaczyna się coraz bardziej ocieplać, co uniemożliwia nam lunetowe obserwacje. Pozostaje liczyć na to, że drop będzie siedział na tyle blisko drogi, że uda nam się go zobaczyć gołym okiem czy też przez wizjer aparatu. Nieobecność dropa rekompensują w pewnym stopniu inne, ciekawe ptaki. Przede wszystkim niemal na każdym postoju towarzyszy nam „świergolenie” żołn. Gdy opuści się południową granicę naszego kraju, przestają obowiązywać wszystkie znane nam z Polski zasady odnośnie tego gatunku – że trzeba szukać go na żwirowniach, wyłącznie w odpowiednich siedliskach. Ten ptak jest tu wszędzie, gdzie znajdzie pożywienie, zwłaszcza w okresie po odchowaniu młodych, czyli pod koniec lipca i w sierpniu. Nie sądzę też, że ktokolwiek bawi się tu w ukrywanie obserwacji, bo wystarczy pojeździć kilka godzin po węgierskich drogach i można z samochodu porobić im dużo ciekawych ujęć. Z ciekawszych ptaków widzimy też kraskę kręcącą się przy dużej budce – prawdopodobnie przeznaczonej dla tego gatunku – jest jednak za daleko na robienie zdjęć. W połowie drogi udaje nam się wreszcie spotkać pierwszy dla nas nowy gatunek – dzierzbę czarnoczelną – widzimy od razu całą rodzinę tych ptaków ganiającą się wśród krzewów wzdłuż drogi. Piękny widok! Niestety czas upływa nieubłaganie i musimy kierować się dalej na południowy-wschód, nocleg mamy dopiero w Rumunii. Z dropem tym razem się nie udało, ale… może podczas drogi powrotnej.

Na drugi dzień podróży nie mamy równie bogatych ornitologicznie planów. Mimo że do pokonania jest znacznie krótsza odległość, droga wiedzie głównie przez góry. Co więcej, tylko niewielka część tej trasy to autostrada, więc będzie ona bardziej męcząca. W wielu momentach na pewno jednak okazuje się bardziej widokowa. Szczególnie malowniczo położona jest naddunajska droga od Orszowej do przejścia granicznego na zaporze Żelazne Wrota. By ominąć korki na przejściu Calafat-Vidin, skracamy sobie drogę przez Serbię. Jadąc dalej wzdłuż Dunaju, mamy okazję obserwować ciekawe ptaki żerujące wśród roślinności nadwodnej: czaple purpurowe i nadobne, kormorany małe. W oczy rzucają się też liczne turkawki, które tu stają się właściwie najliczniejszymi gołębiami. Często podrywają się z pobocza wprost spod kół samochodów, niekiedy siadają jednak tylko kawałek dalej, pozwalając się fotografować. Przekraczamy granicę z Bułgarią i udajemy się na południe do wsi Dobravitsa, gdzie po raz pierwszy próbujemy swoich sił na bułgarskiej ziemi. W okolicznych klifach gniazdują bowiem wieszczki i nagórniki, a w zaroślach u ich podnóża bytować mają góropatwy skalne. Gdy droga staje się nieprzejezdna, zostawiamy nasz samochód na poboczu i planujemy dalej udać się pieszo. Niestety zamiłowanie Bułgarów do trzymania przy domach dużych psów, które na dodatek są najczęściej puszczane luzem i biegają po wioskach, pokrzyżowało nasze plany. Jedna z takich watah skutecznie zniechęca nas do dalszego marszu, dlatego też klify staramy się przejrzeć lunetą. Pech chciał, że zaledwie po kilkunastu minutach nad górami zaczyna grzmieć oraz pojawia się chmura, która zmusza nas do odwrotu. Wolimy nie ryzykować. W ostatniej chwili bardzo wysoko nad naszymi głowami przelatuje sęp płowy. To nowy gatunek, ale zdjęcia, które mu wykonujemy, są niestety bardzo, bardzo dokumentacyjne. Niemniej jednak to takie małe pocieszenie po braku wieszczków. Na nocleg udajemy się do Popovets, gdzie spędzamy go w tradycyjnej bułgarskiej chacie. Pierwszy dzień na bułgarskiej ziemi nie był zbyt udany, nie sprzyjały nam niezależne od nas okoliczności. Jednocześnie skłoniło mnie to do zrewidowania planów na najbliższe dni, tak, by udało nam się zaobserwować najważniejsze gatunki. c.d.n.